

ARTUR URBANOWICZ

PARADOKS



## PARADOKS

Copyright © 2020 Artur Urbanowicz

All rights reserved

Copyright © 2020 Vesper, Czerwonak

Redaktor inicjujący: Jakub Kozłowski

Redakcja: Marek Grzywacz, Karolina Macios

Korekta: Alicja Laskowska,

Anna Skowrońska, Agata Wawrzaszek ([www.calajaskrawosc.pl](http://www.calajaskrawosc.pl))

Projekt okładki: Mirosław Iskra

Ilustracje: Michał Loranc

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część książki nie może być reprodukowana bez zgody wydawcy, z wyjątkiem zacytowania krótkich fragmentów przez recenzenta.



Tekst powieści powstał przy udziale środków Miasta Gdańska w ramach stypendium kulturalnego.

Dystrybucja: In Rock

ul. Gdyńska 30 A

62-004 Czerwonak

tel./faks: 61 868 67 95, 61 868 65 06

e-mail: [handlowy@inrock.pl](mailto:handlowy@inrock.pl)

Vesper

[www.vesper.pl](http://www.vesper.pl)

Wydanie I

Czerwonak, wrzesień 2020

ISBN 978-83-7731-361-9

Druk i oprawa: Abedik, Poznań

Perfekcjonizm jest chorobą.

# P R Z E D M O W A

Choć prawie wszystkie opisane w niniejszej książce miejsca, firmy i instytucje istnieją naprawdę, historię przedstawioną w *Paradoksie* należy uznać za fikcję literacką, a wszelkie podobieństwo do istniejących osób i zdarzeń za przypadkowe. Imiona i nazwiska niektórych postaci mogą pokrywać się z imionami i nazwiskami prawdziwych gdańskich policjantów, studentów Uniwersytetu Gdańskiego lub innych osób zamieszkałych w Gdańsku lub w Suwałkach. Nie należy jednak utożsamiać bohaterów powieści z prawdziwymi osobami. Nie należy również uznawać poglądów tych postaci za tożsame z poglądami autora.

Szczególne pozdrowienia przesyłam Czytelnikom, którzy są ze mną od początku! Bawcie się dobrze, nie tylko czytając nową historię, lecz także szukając w niej odniesień do moich poprzednich powieści. Ukryłem ich w *Paradoksie* bez liku.

Art Ur

Pani Marlenie, mojej psycholożce,  
bez której wszystko byłoby inaczej. Gorzej.

# P R O L O G

*Na świat przychodzimy wprawdzie jako oryginały,  
lecz często umieramy jako kopie.*

Erich von Däniken

Tradycji stało się zadość. Ilekroć przekraczał próg tego miejsca, nasuwało mu się na myśl pytanie, jaki kompleks ma właściciel rzeczownego przybytku.

Tak wypadało określać ten gabinet – „przybytkiem”. Mieścił się na ostatnim piętrze jednego z najwyższych biurów w Gdańsku i z jego okien roztaczała się przepiękna panorama miasta, z pewnością sama w sobie warta sporej części czynszu. Pomieszczenie urządzone z nieprawdopodobnym przepychem. Oprócz drogich, stylizowanych na zabytkowe mebli w oczy rzucała się przede wszystkim ogromna liczba ramek – czy to stojących, czy to wiszących na ścianach, oczywiście złotych. Oprawiono w nie wszelkiego rodzaju dyplomy, podziękowania i certyfikaty ukończenia prestiżowych kursów. Kiedy ktoś tu wchodził, czuł się jak na ulicy, gdzie wzrok z każdej strony atakowały agresywne billboardy; ewentualnie jak w sieci, gdzie zanim dokopujesz się do jakiegokolwiek sensownej treści, musisz najpierw zamknąć całe mnóstwo reklam, próbując wycelować myszką w ten cholerny, uciekający i niedający się ustrzelić „X”.

Właściciel gabinetu przywitał gościa uściskiem dłoni, w którym wyczuwało się ostrożność, i obaj usiedli w drogich, skórzanych fotelach pośrodku pomieszczenia. Nie naprzeciwko siebie – to już na starcie sugerowałyby konfrontację. Siedziska ustawiono pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, zalecanym, kiedy rozmowa – niezależnie, czy o charakterze biznesowym, czy towarzyskim – powinna przebiegać w przyjaznej atmosferze. Ta jednak nie należała ani do pierwszego, ani do drugiego rodzaju.

Gospodarz miał na sobie świetnie dopasowany garnitur i pantofle tak błyszczące, że niemalże świeciły własnym światłem. Był szczupły, nosił okulary, a blond włosy starannie zaczesał na bok. Jego gość też przybył tutaj ubrany schludnie, włosy miał postawione na żel, lecz od rozmówcy wyraźnie odróżniały go świeże rany cięte na dłoniach i twarzy. Tylko te dało się dostrzec. Pod ubraniem – na nogach i torsie – kryło się ich więcej.

Najbardziej jednak różniło ich od siebie spojrzenie. U właściciela gabinetu normalne, nieodznaczające się niczym szczególnym, u gościa – półprzytomne, jakby nie do końca przebywał myślami na tym świecie, a w połowie... szalone. Takie przynajmniej sprawiało wrażenie. W rezultacie ilekroć mężczyzna przychodził tutaj i wpatrywał się w gospodarza, tego przechodziły ciarki, co za wszelką cenę starał się ukryć.

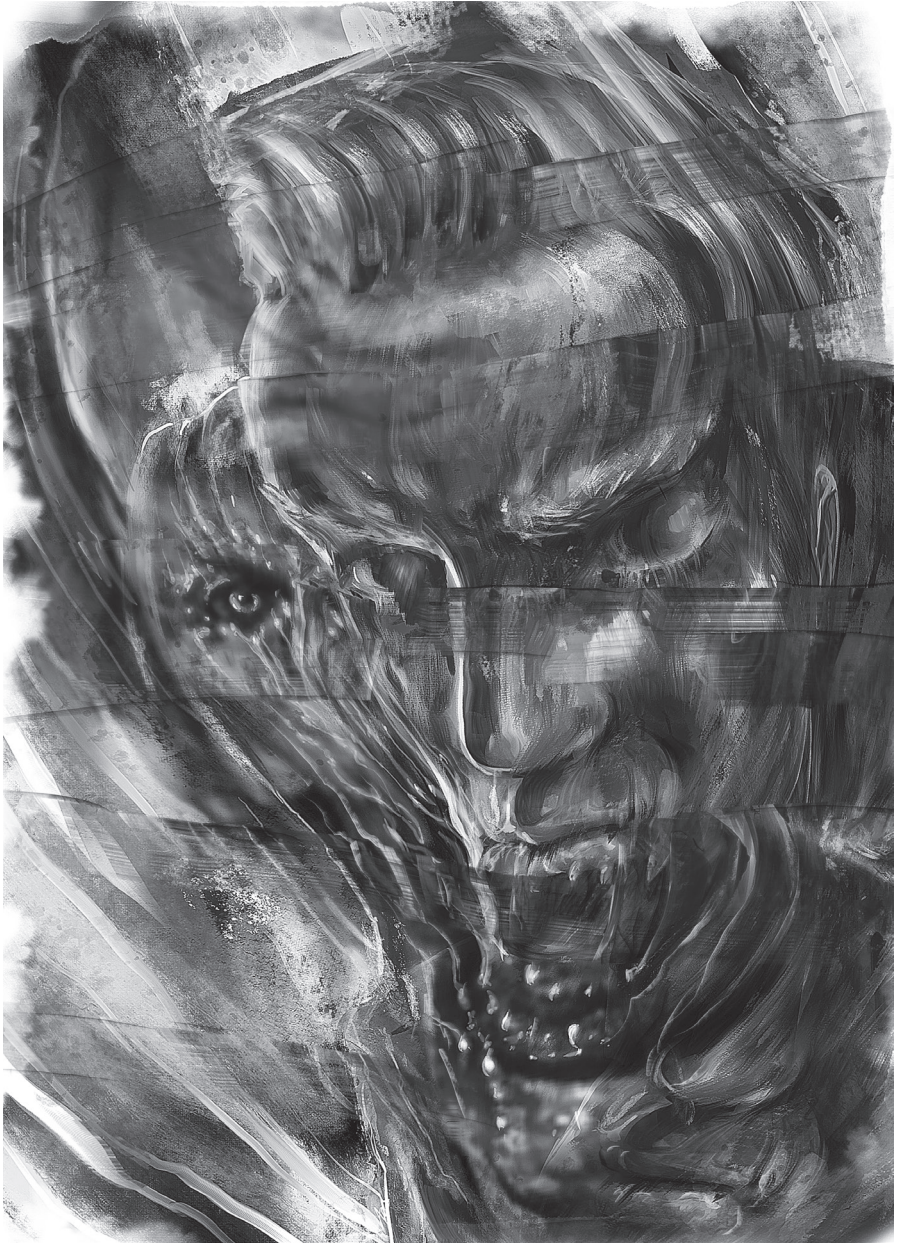
Zwłaszcza w momentach, kiedy zdawało mu się, że widzi twarz swojego gościa podwójnie.

Nie umiał tego opisać inaczej. P o d w ó j n i e.

Samą twarz, resztę normalnie. Jakby spoglądał na żywy anaglif\* z jedną znaczącą różnicą – druga twarz nie wyglądała identycznie jak pierwsza. Wydawała się zniekształcona, zdeformowana i niesymetryczna – między innymi przez liczne guzy czy różną wielkość oczu – jedno niżej od drugiego – oraz przekrzywiony nos, nieproporcjonalne policzki, potężne, karykaturalne usta i krzywe zęby.

---

\* Anaglif – popularna niegdyś forma obrazu, na którym kontury są narysowane dwa razy, różnymi kolorami – zazwyczaj czerwonym i niebieskim, jeden w minimalnej odległości od drugiego. Patrząc na taką grafikę przez specjalne okulary, uzyskuje się efekt trójwymiarowy.





Jakby oblicze człowieka, który się za nią krył, ukształtowało wielopokoleniowe kazirodztwo.

Wydawała się zła.

Gospodarz bał się jej i nigdy nie potrafił skupić na niej spojrzenia. Po pierwsze – nie dało się jej zobaczyć do końca wyrażenie, ponieważ kontury prawie pokrywały się z prawdziwą twarzą mężczyzny, były przesunięte o centymetr, może nawet mniej. Po drugie – szybko znikiała, jak widmo albo duch, który ukazywał się raz, a potem na powrót wtapiał się w ciemność. Jakby bawiła się z obserwatorem w kotka i myszkę, zmuszając go, by zadawał sobie coraz więcej pytań. Czy aby na pewno ją zobaczył? Czy wszystko z jego odbiorem rzeczywistości jest w porządku? Czy przypadkiem nie popada w szaleństwo? Właściciel gabinetu widział ją jednak już tyle razy, że dawno wykluczył złudzenie. Wiedział, że tam jest. Coś, czego nie potrafił ogarnąć umysłem. Ilekroć się pojawiała, zastanawiał się, czy jego rozmówca zdaje sobie sprawę z jej obecności. Jeszcze nie odważył się go o to zapytać.

Cóż, pieniądze na chleb i kawę same się nie zarobią, a właściciel gabinetu cenił się wysoko. I choć było mu z tą świadomością niezręcznie, nie mógł zaprzeczyć, że jego klient na razie wyrzucał je w błoto.

– Pomysł, który chciałbym ci przedstawić, polega na metodzie małych kroków – powiedział.

Usłyszawszy to, jego klient poczuł ukłucie irytacji. Choć nigdy oficjalnie nie przeszli na „ty”, tamten jakiś czas temu nagle zaczął używać tej formy. Klient nie poszedł jego śladem i w dalszym ciągu używał oficjalnej, chociaż potem zdał sobie sprawę, że w ten sposób sam stawia się niżej w hierarchii. Może tak naprawdę o to chodziło? O zastosowanie reguły autorytetu, która miała uwiarygodnić kompetencje właściciela gabinetu, a co za tym idzie – zwiększyć skuteczność jego porad?

– A konkretnie? – zapytał klient.

– Aby pozbyć się twojego problemu, musimy zastosować metodę małych kroków – powtórzył mężczyzna. – Nie zdołamy dotrzeć do celu jednym brutalnym skokiem. Trzeba...

– Skróćmy to i nie pieprzmy bez sensu! Wiem, co znaczy metoda małych kroków! – przerwał mu klient. – Proszę nie traktować mnie jak idioty!

„Co za palant!” – dodał w myślach z pogardą. W jego przypadku stanowiło to już odruch. Mimo to zreflektował się – zalecono mu, by walczył z takim myśleniem. I tym razem poczuł złość, że znowu dał się ponieść emocjom. W tym samym momencie właściciel gabinetu ponownie zobaczył na jego twarzy to dziwne widmo.

– Pytałem o konkrety. Na czym miałyby ona polegać? – Klient zabrzmiał uprzejmie, a jego twarz znowu wyglądała normalnie. Przez chwilę widział gabinet wyłącznie w odcieniach czerwieni. Wszystko: ściany, fotele, dywan, podłogę, biurko, regały i grzbiety ustawionych na nich książek, garnitur swojego rozmówcy, a nawet niebo za oknem. Trwało to zaledwie mgnienie oka. Zauważył również, że właściciel gabinetu niespokojnie drgnął. Nie po raz pierwszy podczas ich spotkań. Tyle że klient nie przychodził tutaj, by wzbudzać strach. Potrzebował pomocy, a ten – jak go określił – „palant” był rzekomo najlepszym psychologiem w mieście. Na pewno najdroższym. I z największą liczbą oprawionych certyfikatów na ścianach gabinetu. Tak dużą, że mógłby wyłożyć nimi jak kafelkami co najmniej średniej wielkości mieszkanie.

– Twoje problemy wynikają ze złości – odpowiedział uspokajającym tonem właściciel gabinetu. Od jakiegoś czasu nie odrywał drżącej dłoni od brody. – Skupiasz ją na samym sobie i właśnie to oddziałuje na ciebie destrukcyjnie. – Kątem oka spojrzął na głęboką, świeżą ranę na policzku mężczyzny. – Nie pozbędziemy się tego za jednym zamachem, musimy to robić kroczek po kroczku.

– Zatem jaki jest pana pomysł na pierwszy krok?

Właściciel gabinetu nabrał więcej powietrza niż normalnie.

– Podkreślam jeszcze raz i będę to powtarzać do znudzenia: nie chcę, abyś tłumił w sobie złość. Odczuwaj ją do woli, nie hamuj się i...

– Tak, pamiętam. „Gdyby pozatykać wszystkie wulkany na ziemi i lawa nie miałaby gdzie uchodzić...”

– „...nie skończyłyby się to zbyt dobrze” – dokończył właściciel

gabinetu, kiwając głową. – Doskonale. Zastosowałeś się do mojej rady z ostatniej wizyty?

– Hobby, które pozwoli mi się wyładować?

– Tak. Robiłeś coś w tym kierunku?

– Próbowałem.

– Ale? Wiesz o tym, że rozmawiać sobie możemy w nieskończoność, ale dopóki nie zaczniesz działać...

– Nie chciałem tego mówić poprzednim razem – przerwał mu klient – ale próbowałem tego wcześniej, jeszcze zanim w ogóle zacząłem do pana przychodzić. Nie pomaga mi to. Zresztą nie zawsze jest możliwość, by natychmiast zastosować tę metodę. Nie pogram w piłkę, ani nie pójdę na siłownię, kiedy na przykład jadę tramwajem.

– Rozumiem. – Właściciel gabinetu zerknął na notatki, które trzymał na podkładce na kolanach. Przez jakiś czas energicznie machał długopisem między palcami. – W porządku – odezwał się wreszcie. – W takim razie spróbujemy czegoś nowego.

– Czego?

„Czy on celowo tak to przeciąga?” – klient nie po raz pierwszy zadał sobie to pytanie. Zasadne. Od początku nie podobała mu się sytuacja, w której płacił za poświęcony mu czas. Wolał wynagradzać rezultaty, nie psychologiczne cliffhangery.

– Już mówię. Kiedy poczujesz złość na samego siebie, spróbuj skierować ją na wyimaginowaną osobę, która wygląda dokładnie tak samo jak ty. Stwórz ją sobie w głowie.

– Jeżeli wyobrazę sobie kogoś o swoim wyglądzie, automatycznie przyjmę, że to ja. To nie zadziała.

– Rozumiem, co masz na myśli, ale sztuka polega na tym, abyś projektował sobie tę postać jako kogoś innego. Drugi, oddzielny byt. Ten ktoś to ty, owszem, ale inny. Gorszy. Jeszcze nieświadomy tego, co czyni. Taki paradoks. Ty i jednocześnie nie ty. On już nie ma w stu procentach twoich cech i wszystko, co cię spotkało, to jego wina, nie twoja.

Klient przewrócił oczami.

– Nie jestem pewien, czy tak łatwo uwierzę w te całe czary-mary.

– Ale chyba zgodzisz się, że każda mijająca sekunda to dla nas nowe doświadczenie, co zawsze wiąże się z większą mądrością? To reguła.

– Powiedzmy.

– A skoro człowiek nabiera mądrości, staje się inny niż poprzednio. Lepszy, bardziej świadomy mechanizmów otaczającego go świata. Rozumiesz, o czym mówię?

– Powiedzmy – powtórzył klient, choć nadal bez przekonania.

– Wniosek z tego jest taki, że pierwszy mały krok prowadzący nas do celu, jakim jest rozwiązanie twoich problemów, to skierowanie złości właśnie na tę drugą, gorszą od ciebie osobę. Można wręcz nazwać ją wymagowanym przyjacielem o twoim wyglądzie; w końcu tworzymy ją w dobrej sprawie. Możemy to zrobić nawet teraz. Spróbujemy?

– Chyba nie mam innego wyboru – odpowiedział bez entuzjazmu klient.

– Zobaczysz, że to pomoże. Obiecuję!

– Co mam robić?

– Na początek rozsiądź się wygodnie w fotelu i zamknij oczy.

Klient wykonał polecenie. Wzmianka o gorszej osobie, nieświadomej zła, jakie odbywa się z jej udziałem, skojarzyła mu się ze słowami Chrystusa, który na krzyżu błagał Boga o wybaczenie dla ludzi z tego samego powodu.

„Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią!”

Czyżby na tym miały polegać kolejne kroki? Najpierw nienawiść do samego siebie przekierowana na kogoś innego, potem darowanie mu, a na koniec wybaczenie samemu sobie?

– Wyobraź sobie oddzielny, żyjący własnym życiem byt, który wygląda dokładnie tak samo jak ty. – Właściciel gabinetu wypowiedział kolejne słowa cichym, hipnotycznym głosem, który miał ciepłą, przyjemną dla ucha, wręcz wywołującą dreszcze barwę. Jak na zawołanie przez ciało klienta przebiegły ciarki. – To gorsza wersja ciebie. Nieświadoma. O mniejszej mądrości. Zupełnie inna, oderwana od oryginału. Całe zło, jakie do tej pory cię spotkało, to jej wina.

Klient zacisnął drżące pięści tak mocno, że strzyknęły mu knykcie. Nie otwierał oczu.

– Nazwijmy go „Ten Drugi” – kontynuował terapeuta. – Możesz złościć się na niego do woli. Możesz go nienawidzić, ile chcesz. Poczuj to. Wydobądź z siebie wszystkie negatywne emocje, jakie cię niszczą, i przenieś je na niego. Teraz!

Drżenie przybrało na sile i objęło całe ciało mężczyzny. Zaczął szybko oddychać, zacisnął usta i zmarszczył brwi.

Tymczasem właściciel gabinetu znów zobaczył jego twarz podwójnie. Teraz nabrał absolutnej pewności, że nic mu się nie wydaje. Widział dwie nakładające się na siebie pary oczu – jedno zamknięte, a drugie... otwarte i wpatrzone prosto w niego. Mało tego, choć na prawdziwej twarzy mężczyzny malował się wyraz skupienia i wściekłości, druga – przeraźliwie szpetna i zdeformowana – złośliwie się uśmiechała.

# C Z Ę Ś Ć I

( n i e ) D o s k o n a ł y

# R O Z D Z I A Ł I

## 1

### *piątek, 25 stycznia 2019*

*Bracia bliźniacy – Tony i Brad – odprowadzali swoją wiekową matkę na samolot tanich linii lotniczych. Nagle Tony wypatrzył na lotnisku pewnego mężczyznę.*

*– Zobacz! – Szturchnął brata. – Przecież to Phil! Niesamowite! Brad także rozpoznał Phila.*

*– Dziwne uczucie – mruknął. – Widzisz człowieka po raz pierwszy i od razu wiesz, kto to jest. Ciekaw jestem, czy ktokolwiek inny miałby tak samo jak my?*

*Zadanie: Kim jest Phil?*

Maks zmarszczył czoło. Oparł głowę na dłoniach, oczywiście dbając o to, by nie dotknąć włosów. Przygryzł wargę i zmrużył oczy, intensywnie myśląc.

Jakie informacje przekazuje tekst? Jest tak krótki, że każde słowo może mieć znaczenie. Zacznijmy od początku. Mamy braci bliźniaków. Ich matka jest wiekowa. Samolot lata dla tanich linii. Phil to mężczyzna i widzą go na lotnisku. Jednak z kontekstu

nie da się wywnioskować, czy pojawił się tam jako pasażer, czy jako pracownik, czy może jako model na plakacie reklamowym. Nie, zaraz! Plakat odpada! Jeden z bliźniaków mówi, że widzą delikwenta po raz pierwszy. Nie wyklucza to jednak zobaczenia go na żywo, jak i w środkach masowego przekazu. Zresztą reakcja braci wskazuje na to, że dostrzegli kogoś znacznie im bliższego niż znany celebryta z reklamy.

Maks pstryknął palcami. Tak, na pewno! Nazwali tego człowieka po imieniu, a w przypadku znanych osób w podobnej sytuacji używa się nazwiska albo pseudonimu, które działają jak słowa identyfikujące marki. Nie mówi się Cezary, tylko Pazura. Nie mówi się Ryszard, tylko Peja, podobnie ze wszystkich Joann na świecie tę jedną konkretną – modelkę – rozpoznasz w dowolnej opowieści po tym, że ma na nazwisko Krupa. Dlatego w tej zagadce z grona podejrzanych odpadają wszystkie osoby publiczne – artyści, politycy, modele i tak dalej.

Uśmiechnął się pod nosem, rad, że wyłapał tak mały i niezbyt oczywisty szczegół.

Po czym rozpoznali człowieka, jeśli spotkali go pierwszy raz w życiu? Na pewno po wyglądzie, jest jasno napisane, że go zobaczyli, nie usłyszeli, nie poczuli jego zapachu. Jakieś znaki charakterystyczne? Blizna biegnąca przez całą twarz? Nietypowy kolor włosów? Karłowatość? Wszystkie wymienione cechy? Mogli usłyszeć o kimś takim w opowieściach znajomych. Dlaczego w takim razie nikt nie pokazał im go na zdjęciach? Gdyby Maks usłyszał o takim indywiduum, natychmiast chciałby je zobaczyć. Bohaterowie zagadki najwyraźniej nie mieli takiej możliwości – wyraźnie podkreślili, że nigdy wcześniej nie widzieli tej osoby. Co więcej, choć zestaw wyrazistych cech wyglądu niewątpliwie stanowiłby rzadkość, nie dawałby stuprocentowej pewności, że osoba, którą widzimy, jest tą, o której myślimy. Bracia byli co do tego przekonani. Phil to Phil. I kropka.

Phil, którego zobaczyli pierwszy raz w życiu i od razu wiedzieli, kim jest...

Maks przymknął powieki i podrapał się po skroni. Od inten-



sywnej pracy umysłowej rozboleła go głowa. Kusiło go, by zerknąć do odpowiedzi na końcu książki, lecz nie pozwalała mu na to duma. Mierzył się z zadaniem na inteligencję, czymś w rodzaju kryminalnej zagadki dla detektywa. Musiał poradzić sobie z nim samodzielnie.

Mimochodem spojrzął na zegarek na ekranie laptopa i przełożył pod nosem. Niechybnie zbliżała się pora wyjścia na uczelnię. Uległ pokusie i przerzucił kilkadziesiąt stron.

*Matka bliźniaków tak naprawdę urodziła trojaczki jednojajowe. Trzech chłopców – Tony’ego, Brada i Phila. Nie było jej stać na wychowanie całej trójki i po porodzie z ciężkim sercem oddała jednego z nich do domu dziecka.*

Maks cmoknął z dezaprobatą. No tak! Tanie linie, czyli biedna rodzina. Bliźniacy, którzy zobaczyli kogoś po raz pierwszy i rozpoznali go po wyglądzie. Nic dziwnego.

Tony i Brad zobaczyli siebie.

Człowieka, który stanowił ich idealną kopię. Wiedzieli o istnieniu Phila. Nie mogli go nie rozpoznać.

Maks zamknął książkę z logo Mensy na okładce, zły na siebie, że nie wpadł na to rozwiązanie. Teraz wydawało mu się oczywiste.

Odpalił na smartfonie audiobooka i wszedł do kuchni, podczas gdy głos lektora wybrzmiewał z małego głośniczka w urządzeniu. Śniadanie Maksa składało się codziennie z tego samego zestawu: jedna kanapka z wędliną, serem i keczupem, druga z jakimś smarowidłem, trzecia zaś koniecznie z czymś słodkim – dżemem, miodem albo kremem czekoladowym. Do tego przygotowywał sobie jajko sadzone, zagryzając je drugą z wymienionych kanapek. Całości dopełniała sałatka warzywna, jogurt, dwa owoce – zawsze banan i, na przemian, jabłko, pomarańcza lub mandarynka, oraz napój, który Maks pił bezpośrednio z kartonu. Nie widział sensu używania szklanek. Wlewanie go do naczynia, które potem należałoby umyć, to marnotrawstwo czasu i pieniędzy. Jeżeli któryś ze współlokatorów podkradał mu to i owo z lodówki, a wraz z nim zarazki, sam był sobie winien.

Śniadanie zawsze wyglądało tak samo i Maks czuł się niekom-

fortowo, kiedy brakowało któregoś ze składników. Tak jak dzisiaj żółtego sera. Przeoczenie. Durne przeoczenie, które nie powinno mu się zdarzyć. Zazwyczaj, jeżeli już do czegoś takiego dochodziło, wynikało z niedostatku towaru w supermarkecie odwiedzanym przez Maksa regularnie co piątek, po zajęciach. Na ogół dobrze pamiętał, co trzeba kupić, i zawsze obchodził sklep tą samą trasą, robiąc zygzak od prawej do lewej. Irytował się, kiedy potem musiał pójść gdzieś indziej, ponieważ w pierwszym dyskoncie z kolei akurat brakowało jego ulubionych produktów. A już w ogóle kiedy zapominał czegoś kupić i musiał udawać się do sklepu drugi raz w danym tygodniu. Taka strata bezcennych minut! Czas to pieniądz, a nawet coś więcej – nie da się go ani uzupełnić, ani odzyskać. Można go spędzić o wiele efektywniej, niż łąząc bez sensu po sklepie kilka razy w tygodniu, kupując jednego dnia to, kolejnego tamto, innego siamto, w zależności od tego, co akurat przyjdzie do głowy. Kilka minut w tę, kilka minut we w tę i w skali roku zbiera się tego pokaźna liczba straconych godzin. Kto wie, może nawet dni? Wystarczy raz a dobrze.

Teraz, gdy Maks zerknął na zawartość lodówki, z zadowoleniem stwierdził, że choć dzisiaj miał w planie zakupy, oprócz tego cholernego sera niczego do śniadania mu nie brakowało.

Wróć! Nie zgadzała się liczba jogurtów. Były cztery, są trzy. Nie on zjadł ten brakujący, był co do tego przekonany.

– Japier... – mruknął pod nosem, używając autorskiego skrótów. Nawet przeklinając, starał się oszczędzać czas.

Zanosilo się na kolejną męską rozmowę ze współlokatorami. Po południu. Teraz byli na uczelni. GUMed, czyli Gdański Uniwersytet Medyczny.

Zjadł śniadanie, skupiając się na głosie lektora czytającego książkę. Potem odłożył naczynia do zlewu. Zamierzał pozmywać je wieczorem – poświęcał go wszystkim zajęciom niewymagającym zbytniego wysiłku umysłowego: zmywaniu, sprzątanii, zakupom, praniu, prasowaniu i tak dalej. Rano szkoda marnować wypoczęty i świeży umysł na tak prozaiczne czynności.

Schował jedzenie do lodówki i starannie zadbał, by opakowa-

nia stały w określonym porządku. Zanim zamknął drzwi, poprawił karton z sokiem, by logo było zwrócone w ich stronę. To samo zrobił z butlą keczupu.

Do łazienki też poszedł ze smartfonem, dalej słuchając audiobooka. Najpierw umył zęby, potem zaś użył płynu do płukania jamy ustnej. Co prawda na opakowaniu napisano, by stosować go przez trzydzieści sekund, niemniej Maks swego czasu doszedł do wniosku, że lepiej to przedłużyć. Nie przerywając płukania, zastopował audiobooka i wszedł pod prysznic. Brał go zawsze po śniadaniu, nie przed, z dwóch powodów: aby zmyć z siebie ewentualny zapach jedzenia oraz aby przed wyjściem z domu załatwić w łazience wszystkie niezbędne czynności za jednym zamachem: mycie zębów, prysznic, wyperfumowanie się, ewentualne golenie czy korzystanie z toalety. Dzięki temu szedł tam tylko raz.

Prysznic nie zajął mu dużo czasu. Wystarczająco, by dokładnie się umyć, ale nic ponadto. Taki Błażej, jeden z jego współlokatorów, potrafił spędzić pod natryskiem bite pół godziny, marnując czas i wodę. Zanim Maks zakręcił kurek na dobre, wypłynął z ust płyn do płukania, który zniknął w odpływie kabiny prysznicowej. Zdawał sobie sprawę, że to jeszcze nie optymalny rozkład czynności podczas kąpieli. Tęsknie wyczekiwał swoich urodzin, na które zażyczył sobie wodoodpornego odtwarzacza mp3, aby móc słuchać audiobooków także w trakcie mycia i tym samym wykorzystywać czas jeszcze efektywniej.

Zanim wyszedł z kabiny, przeciągnął dłońmi po ciele, aby pozbyć się z niego tyle wody, ile dał radę. Opuściwszy brodzik, ponownie odpalił na smartfonie audiobooka, wytarł się do sucha, po czym usiadł na muszli klozetowej.

Uniósł głowę. Źle uporządkował ciąg czynności! Powinien był najpierw usiąść na sedesie, a dopiero potem wziąć prysznic, zmywając nieczystości.

Zirytował się.

– Myśl, debilu – mruknął z dezaprobatą i obiecał sobie, że od jutra będzie wykonywał tę sekwencję we właściwej kolejności.

Na koniec ubrał się, zdejmując świeżo wyprane, ale już suche

ubrania z podwieszanej pod sufitem suszarki (nie widział sensu, by ściągać je stamtąd wcześniej, zwłaszcza gdy nie wymagały prasowania), po czym stanął przed lustrem i postawił sobie włosy na żel, zaczesując je z największą starannością. Skorzystał z grzebienia również po to, by postawić na baczność dwa włoski na lewej brwi, zdecydowanie dłuższe niż pozostałe. Niby szczegół, po prawej stronie czegoś takiego nie miał, lecz nie ubolewał nad tym. Uważał, że fajnie wygląda. Kiedy skończył, względnie zadowolony z rezultatu, natychmiast odwrócił wzrok od lustra. Nie lubił patrzeć na siebie dłużej, niż to było konieczne. Ze swoim przeciętnym wzrostem, nijakim brązowym kolorem włosów i niewyróżniającą się niczym szczególnym szczupłą sylwetką nie uważał się za zbyt atrakcyjnego.

Wcisnął słuchawki w uszy, by kontynuować słuchanie audiobooka, po czym włożył buty i kurtkę. Zrezygnował z czapki, żeby nie zniszczyć rezultatów swojej ciężkiej pracy w łazience. Opuścił mieszkanie i zbiegł po schodach.

W połowie drogi gwałtownie się zatrzymał.

Nie pamiętał, czy zamknął drzwi na klucz. Nawet jeśli to zrobił, nie zarejestrował tej czynności; zbyt pochłaniała go słuchana historia.

Zirytował się. Już tyle razy mu się to zdarzało i za każdym powtarzał sobie, że od tej pory będzie przekręcać klucz z należytym skupieniem. Ile jeszcze?!

Przeklinając pod nosem, wrócił pod drzwi i nacisnął klamkę. Zamknięte. Przynajmniej miał dobre nawyki i nie zrobił niczego głupiego. Niemniej nic nie usprawiedliwiało faktu, że na własne życzenie stracił bezcenną minutę życia.

Zbiegł po schodach, przytomnie przeskoczył kabel na korytarzu na parterze, wyszedł na zewnątrz i ruszył w stronę przystanku tramwajowego. Już kilkanaście sekund po tym, jak opuścił klatkę schodową, wiatr doszczętnie zniszczył mu fryzurę. Przez moment zastanawiał się, czy nie wrócić do mieszkania i nie uczesać się ponownie, lecz uznał, że to bez sensu. Wiatr i tak nie przestanie wiać. Nie zimą, nie nad polskim morzem. Postanowił, że popra-

wi wygląd, jak tylko dotrze na wydział. Upewnił się, że w kieszeni ma swój nieodłączny grzebyczek.

Po około dziesięciu minutach dotarł pod Galerię Bałtycką, od której dzieliło go już tylko jedno, zaledwie kilkumetrowe przejście dla pieszych. Killkoro ludzi bezrefleksyjnie stało i czekało na zielone światło. Maks rozejrzał się. Ani jednego samochodu. Mimo to wszyscy grzecznie czekali, aż sygnalizator łaskawie pozwoli im się ruszyć. Dlaczego? Bo prawo zabrania przechodzenia przez jezdnię w takiej sytuacji, bez względu na okoliczności. Nic to, że w promieniu kilometra nie widać samochodu. Nie można przejść i koniec. Czy ktoś, kto układał przepisy, pomyślał, że to bez sensu? Gdzie tam!

Maks zignorował czerwone światło i przeszedł przez jezdnię. Dotarłszy na chodnik po drugiej stronie, otworzył szerzej oczy.

Policjant, który ukrywał się za rogiem, z kamienną twarzą przywołał go gestem do siebie.

– Sierżant Szczygielski, Komenda Miejska Policji w Gdańsku. Dokumenty poproszę.

Maks wyłączył audiobooka, wyciągnął z portfela dowód osobisty i podał go funkcjonariuszowi, któremu towarzyszył jeszcze jeden policjant.

– Na czerwonym świetle się stoi i czeka, proszę pana. Spiesz się pan gdzieś?

– Tak, na uczelnię.

Skłamał z tym pośpiechem, ale nie musieli o tym wiedzieć. Podczas gdy jeden z policjantów sprawdzał u dyżurnego, czy legitymowany obywatel nie jest poszukiwany, drugi pisał coś w notatniku służbowym. Wczuwał się w to tak, jakby zdawał raport co najmniej z zatrzymania pirata drogowego, który naraził zdrowie i życie dziesiątek ludzi. Maks natomiast czekał i nic nie mówił. Nie zamierzał błagać policjantów o litość, awanturować się ani negocjować. Na ich miejscu zrobiliby to samo – ustawiłby się za rogiem w podobnym miejscu albo, gdyby pracował w drogówce, za jakimś ostrym zakrętem, i stamtąd pilnował, by statystyki się zgadzały. W tej pracy tak naprawdę chodzi wyłącznie o nie.

– Tak. Okrągły. Maksymilian – powiedział przez radiotelefon drugi z policjantów.

Okrągły. Takie właśnie nosił nazwisko. Może nie wymarzone, ale miało swoje zalety. To od niego na przykład wziął się pseudonim „Square”, który wymyślono mu jeszcze w gimnazjum. Tak, to po angielsku „kwadrat”; w świecie nastolatków wszystko musi być zrobione czemuś na przekór. Maks nad tym nie ubolewał, jego zdaniem brzmiało lepiej niż „Round” czy „Circle” i rozwiązywało problem wymyślania sobie loginu na jakimkolwiek portalu.

Dyżurny nie mógł znaleźć nic na Maksa, więc ten liczył tylko na pouczenie. Jak dotąd legitymowano go kilka razy – regularnie tłumaczył się przed dzielnicowym wzywaniem przez staruchę z piętra niżej. Kamienica, w której mieszkał, liczyła dobre siedemdziesiąt lat i miała tak cienkie ściany, że było przez nie słycać dosłownie wszystko. Nawet zadziwiającą samokrytykę sąsiadki z mieszkania obok, która nazywała swoje dziecko „skurwysynem”, albo orgazm studenta masturbującego się w kawalerce piętro wyżej. Współlokatorzy Maksa niby wiedzieli o akustycznych właściwościach ich lokum, lecz głośna muzyka hulała w ich pokoju dość często. Zadziwiająca cecha sporej części społeczeństwa: ludzie nie używają nabytej wiedzy w praktyce. Albo zapamiętują, lecz nie rozumieją.

– Panie Maksymilianie, niestety to będzie sto złotych mandatu – powiedział w końcu policjant, a Maks jakby się ocknął. – Ma pan prawo odmówić przyjęcia, ale wtedy skierujemy sprawę do sądu – dodał mężczyzna. – Przyjmuje pan?

– Nie mogliby panowie dać mi pouczenia? To mój pierwszy mandat w życiu.

Policjanci spojrzeli na siebie ze zdziwieniem, po czym jeden z nich chrząknął i powiedział:

- Przecież wczoraj pouczyliśmy pana z tego samego powodu.
- Słucham?
- Miał pan swoje koło ratunkowe, ale wykorzystał je wczoraj.
- Jak to?
- Niech pan nie udaje, naprawdę. Wczoraj popełnił pan iden-

tyczne wykroczenie i został za to pouczony. Dzisiaj taryfy ulgowej już nie będzie. Przyjmuje pan czy nie?

Maks wpatrywał się w nich, skonfundowany. Wczoraj? Niczego takiego nie pamiętał.

– Panowie, to musi być jakaś pomyłka. Jestem pewien, że od dobrych kilku tygodni nie spotkałem żadnego policjanta! Przysięgam!

– W zasadzie nie ma znaczenia, czy pan spotkał, czy nie – zirytował się funkcjonariusz. – Nawet jeżeli to pomyłka, teraz dopełnił pan wykroczenie, za które należy się panu mandat, i dostaje pan mandat. Koniec dyskusji.

Maks spojrział na rozmówcę spode łba i się poddał. Był zły na policjantów; obrywał właśnie za cudzy błąd. Normalnie pewnie by mu się upiekło.

– Przyjmuję mandat – wycedził przez zęby.

Policjant wypełnił druk i podsunął mu go do podpisu. Tyle dobrego, że Maks i tak planował pójść dzisiaj na pocztę. Niemniej utrata stowy bolała. Przy pomyślnych wiatrach za tyle można przeżyć nawet dwa tygodnie.

– Życzymy miłego dnia i więcej rozważli na przejściach dla pieszych. – Policjant wręczył mu mandat i dowód osobisty.

– Na pewno będzie miły. Już rozpoczął się świetnie! – odpowiedział Maks, nim zdołał ugryźć się w język. Wsadził dowód do portfela, powtórnie włączył audiobooka i energicznie pomaszerował w stronę przystanku tramwajowego „Galeria Bałtycka”.

Spojrzał na elektroniczną tablicę informującą o kolejności nadjeżdżających tramwajów. Szóstka, którą dojechałby na uczelnię, się spóźniała. Rozejrzał się. Razem z nim czekało wielu ludzi, więcej niż zazwyczaj. Tramwaj przyjechał z blisko pięciominutowym opóźnieniem i był przepełniony. Mimo to grupa z przystanku próbowała jeszcze do niego się wpełznąć. Wszyscy oprócz Maksa. Dosłownie chwilę po tym, jak szóstka odjechała, pojawiła się dwunastka, również jadąca pod uniwersytet i prawie pusta. Maks wsiadł do niej i z łatwością znalazł wolne miejsce. Wybrał takie, aby przy wysiadaniu mieć jak najbliżej do wyjścia z przystanku.

Lepiej przemierzyć te kilkanaście metrów w trakcie podróży i zaoszczędzić czas.

Dwunastka wkrótce dogoniła szóstkę. Ludzie na kolejnych przystankach zachowywali się identycznie jak ci spod Galerii Bałtyckiej. Wsiadanie i wysiadanie zajmowało im o wiele więcej czasu niż w przypadku pasażerów tramwaju, którym jechał Maks. Spojrzał przez przednią szybę i z satysfakcją obserwował ściśniętych w szóstce ludzi, ledwo powstrzymując się od kpiącego uśmiešku. Widok ten sprawił go w na tyle dobre samopoczucie, że niemal zapomniał o mandacie.

## 2

W tym samym czasie, w innej części Gdańska, pewien mężczyzna wszedł do pizzerii i usiadł w miejscu, z którego miał dobry widok na wejście do sąsiedniego lokalu. Niepokoił się, mając gorącą nadzieję, że osoba, której szukał, w końcu tam się pojawi. Najgorsza była świadomość, że już nie wszystko zależało od niego. Plan A zawiódł i należało zastosować plan B, choć mężczyzna już teraz wolał nazywać go planem Z – tyle rzeczy musiał w nim pozmieniać w porównaniu do pierwotnych zamierzeń. No bo jak tu polować, kiedy nie można wytropić zwierzyny?

Kiedy podeszła do niego kelnerka, złożył pierwsze i – jak miało później się okazać – nie ostatnie tego dnia zamówienie.

## 3

Tak naprawdę Maks nie musiał jechać dzisiaj na uczelnię, bo semestr się skończył. Za kilka miesięcy czekał go egzamin licencjacki, za kilka dni zaś początek zimowej sesji. Wolne piątki studentów trzeciego roku matematyki można było wykorzystać za to do organizacji dodatkowych warsztatów. Dzięki funduszom unijnym Wydział MFI Uniwersytetu Gdańskiego dyspono-



wał środkami umożliwiającymi zapraszanie na uczelnię ekspertów z zewnątrz. Dziś jeden z nich miał odpowiedzieć słuchaczom na fundamentalne pytanie: „Jak żyć?”. I chyba nie zamierzał odpowiedzieć na nie klasycznym „Krótko!”, zgarnąć forsy i się ulotnić. Już sam tytuł warsztatów wiele obiecywał.

„Matematyka i co dalej?”

Maks był jedynym pasażerem, który wysiadł z dwunastki. Zszedł po schodach za tłumem studentów, jaki dosłownie wylał się z jadącej przed nią szóstki. Niebiesko-biały budynek jego wydziału nieopodal przypominał długi blok mieszkalny rodem z epoki poprzedniego ustroju. Nowe, będące jeszcze w budowie skrzydło pod Instytut Informatyki planowano otworzyć dopiero w październiku.

Maks przeklął, gdy podmuch zimnego wiatru znowu zaatakował jego fryzurę. Przyspieszył kroku, myśląc tęsknie o lustrze. Zostawił kurtkę w szatni i poszedł do łazienki. Doprowadziwszy się do porządku, wszedł na długi, szeroki, wyłożony kamiennymi płytami korytarz, w którym znajdowały się wejścia do auli. Dawno nie widział go tak zatłoczonego, nawet w pełni semestru.

Kiedy zbliżył się do grupy studentów, gwar natychmiast ucichł i prawie wszyscy spojrzeli na niego. Zatrzymał się. Czekał w napięciu na nieuchronne.

Od tłumu oderwał się pierwszy chłopak i ruszył w jego stronę, a pozostali podążyli za nim jak lawina. Szli coraz szybciej, zaraz przerodziło się to niemalże w bieg. Maks zaś stał z kwaśną miną na środku korytarza. Ilekroć dochodziło do takich sytuacji, czuł zażenowanie, a powtarzały się przed każdą sesją. Po prostu jako jedyny z roku chodził na wszystkie wykłady.

– Masz? – zapytał idący na czele chłopak. Maks widywał go na zajęciach tak rzadko, że miał trudność z przypomnieniem sobie jego imienia i nazwiska, a teoretycznie znali się dwa i pół roku. Delikwent sam tego nie ułatwiał – nazywał się Jacek Jakubowski. Albo Jakub Jackowski.

– Co mam? – odparł Maks, choć dobrze wiedział, o co chodzi. Postanowił jednak trochę się podroczyć.

- Zeszyt z ekonometrii. Tak jak pisaliśmy.
- Mam – przyznał bez entuzjazmu.
- To daj teraz, skseruję szybko.
- Nie zapomniałeś o czymś?

Kuba/Jacek zrobił kwaśną minę, po czym sięgnął do kieszeni i wyjął pięćdziesięciozłotowy banknot, z pewnością efekt rzutki kilku osób.

– Tak lepiej?

– Lepiej. Masz i daj mi spokój. – Wziął od niego banknot, zdjął plecak, dziś wypełniony jak nigdy, wyjął z niego czerwony zeszyt i wręczył chłopakowi. Identycznie postąpił z brulionami z pozostałych przedmiotów, które wzięła reszta jego kolegów i koleżanek z kolejki. Oczywiście od nich również skasował odpowiednią kwotę. Obserwując, jak prawie wyrwali sobie zeszyty, niemal słyszał komentujący to głos Krystyny Czubówny i błogosławił fakt, że kupił takie w twardej oprawie. Kilkanaście osób ruszyło pod sztandarami jego brulionów w stronę ksera.

Podszedł do chłopaka i dziewczyny siedzących na parapetach pod oknami. Ten pierwszy nosił okulary, długie spodnie moro, trampki Converse oraz czarny T-shirt z napisem na piersi: „Tu jestem!” i strzałką skierowaną do góry. Był niski, a jego twarz zdobiła niezbyt estetyczna bródka z rzadkiego zarostu. Włosy na czubku jego głowy były natomiast znacznie przerzedzone, a z tyłu okraszał je długi warkoczyk w stylu Jedi. Obok chłopaka leżał jutowy plecak z ręcznie wyszytym napisem: *I am the passenger. And I ride, and I ride.*

Z kolei dziewczyna o brązowych włosach do ramion była z nich trojga najwyższa, szczupła, choć ze sporymi piersiami, i miała diastemę tak szeroką, że podczas niedawnej imprezy w akademiku jeden kolega w przypływie pijackiego poczucia humoru chciał wrzucić tam monetę i stanowczo domagał się wydania snickersa.

Słowem, Olek Gienieczko i Grażyna Puchucka vel „Grażka”.

- Cześć – przywitał się Maks.
- Siema – odpowiedział cienkim głosem Olek. Zawsze brzmiał tak, jakby ktoś właśnie kopnął go w krocze.
- Cześć – zawtórowała mu Grażka.

– Tłum dziś jak nigdy! – Maks rozejrzał się po korytarzu. Choć spora część jego kolegów i koleżanek przemieszczała się pod ksero, w pobliżu wciąż panował tłok.

– Zdziwiony? Zapowiadają się najciekawsze zajęcia od początku studiów. – Grażka odpowiedziała z takim przekąsem, że Maks niemal poczuł na twarzy uderzenie ciepłej chmury radioaktywnych toksyn. Uśmiechnął się w duchu.

– Słyszeliście, że koleś podobno skończył ten sam kierunek co my? – zapytał. – I to na naszym wydziale?

– Ojej, niesamowite – odparła bez entuzjazmu.

– I chyba nie wyszedł na tym tak źle. Widziałem, że nawet komentuje wydarzenia giełdowe na Onecie. Nie byle kto.

– Tak, to na pewno dzięki naszym studiom! – Grażka spojrzała na Maksa z politowaniem. – Pewnie pracował poza uczelnią, sporo czytał, nie dawał ciągnąć się w dół tak jak my, to wypłynął. Nie każdego stać na takie samozaparcie.

– Pusia! – odezwał się Olek.

Grażka zmierzyła go morderczym wzrokiem. Nie lubiła tego przydomku powstałego od jej nazwiska, o czym Olek doskonale wiedział. Maks też. Dlatego używali go i jego różnorodnych przekształceń tak często, jak się dało.

– Mam do ciebie jedno, podstawowe i bardzo ważne pytanie – kontynuował.

– Dlaczego rzeczy nie spadają do góry? Od razu mówię, że nie wiem.

– Nie, inne. Powiedz mi, czy parapet nie jest aby za twardy?

– Słucham? – Rozejrzała się ze zdziwieniem po swoim siedzisku, jakby spodziewając się przeoczonej poduszki pierduszkii.

Olek zachował kamienną twarz, ale Maks nie mógł powstrzymać coraz szerszego uśmiechu. Niby drapiąc się pod nosem, zakrył sobie usta dłonią i lekko odwrócił głowę. Grażka była nie tylko od nich wyższa, ale też cięższa, choć mieściła się w widelkach prawidłowej wagi dla swoich dwóch metrów wzrostu. Zrobił też dyskretny krok do tyłu, poza zasięg jej rąk. Cios nimi zadany zapewne nie należał do najprzyjemniejszych przeżyć.

– Pytam poważnie: czy nie uważasz, że podłóżę, na którym siedzisz, jest za twarde?

– Ale o co ci w ogóle chodzi?

– Dobra – westchnął – to zapytam inaczej: czy według ciebie pora tych zajęć nie jest aby za wczesna?

Grażka nie odpowiedziała od razu. Lustrowała go podejrzliwie, jakby chciała przeczytać myśli. Olek nawet nie mrugnął, na jego nieprzeniknionej twarzy nie pojawił się choćby jeden tik. Maks podziwiał siłę mięśni jarzmowych kolegi. Jego już dawno się poddały.

– W sumie mogłyby się zacząć dwie godziny później – odparła w końcu.

Maks i Olek skrzyżowali spojrzenia i nie wytrzymali. Jednocześnie parsknęli śmiechem.

– O co wam, kurwa, chodzi? – warknęła Grażka.

– A mogę teraz ja zadać ci pytanie? – zapytał Maks.

– Najpierw powiedzcie, z czego tak rżycie.

– Zaraz! Najpierw musisz mi powiedzieć coś ważnego.

– Co?

– Czy według ciebie ilość tlenu w powietrzu nie jest aby za wysoka?

Olek wybuchnął śmiechem, przypominającym małpi bełkot. Maks z kolei usilnie walczył o zachowanie powagi i dodał:

– Znasz taki dowcip o babie, która przychodzi do lekarza i wszystko ją wkurwia?

– Nie znam – odparła z przekąsem.

– Przychodzi baba do lekarza i mówi: „Panie doktorze, wszystko mnie wkurwia, proszę coś z tym zrobić!”. On na to: „Czy próbowała pani medytacji? Środków uspokajających? Czy regularnie uprawia pani seks?”. Ona mu przerywa: „Seks? A co to jest?”. Lekarz nie może nie skorzystać z takiej okazji. Zaprasza ją za parawan. Przez jakiś czas w gabinecie panuje cisza, lecz nagle zza parawanu dobiega: „Weź się zdecyduj, czy go wkładasz, czy wyjmujesz, bo mnie to wkurwia!”.

Olek roześmiał się tak intensywnie, że położył się na parapecie.

Grażka spojrzała na jednego i drugiego, po czym wstała.

– DeBILE. Naprawdę, boki trójkąta zrywać! – mruknęła i ruszyła w stronę drzwi do auli. Zrobiło się przy nich tłoczniej. Zbliżała się godzina rozpoczęcia warsztatów i studenci powoli wchodzili do sali.

– Każda kobieta raz w miesiącu ma kilka gorszych dni – odezwał się Maks.

Olek spojrział na tył głowy Grażki, który wśród otaczających ją niższych kolegów i koleżanek przywodził na myśl jeden ze słynnych posągów na Wyspie Wielkanocnej.

– Puchus! natomiast raz w miesiącu ma gorszy cały miesiąc.

#### 4

Paweł Szulc był doświadczonym maklerem papierów wartościowych i analitykiem od blisko dziesięciu lat związanym z rynkami finansowymi. Zajmował się również komentowaniem sytuacji giełdowej i gospodarczej dla ogólnopolskich mediów. Miał na koncie liczne wystąpienia w roli prelegenta na konferencjach oraz szkoleniach o tematyce finansowej, prowadził także blog, na którym przystępnie przybliżał laikom zasady działania rynków kapitałowych.

Tak przynajmniej można było przeczytać w zakładce „O autorze” na jego blogu, co Maks uczynił wczoraj. Uważał jego CV za niezłe – w każdym razie pozwalające optymistycznie nastroić studentów, którzy przyszli go posłuchać. Znajdowało się tam również jego zdjęcie, które nawet po photoshopowym makijażu nie odbiegało zbyt od rzeczywistości. Zarówno na nim, jak i na żywo, mężczyzna wywierał dobre pierwsze wrażenie – uśmiechnięty, zadbany, uczesany i ubrany w elegancki garnitur o luźnym kroju. Nie był zbyt wysoki i nosił okulary.

– Kto z was już wie, co konkretnie chce robić w przyszłości?  
– zwrócił się do studentów z podium na dole sali, kiedy skończył etap powitania i przedstawiania się. Na nieco ponad sześćdziesiąt

osób na widowni rękę uniosło zaledwie kilka. Maks również tego nie zrobił.

– Tak myślałem! – zawołał dziarsko Szulc. – Znacie ten dowcip? Lekcja w szkole, każdy z uczniów opowiada, kim chce zostać w przyszłości. Nadchodzi kolej Jasia i ten mówi: „Chciałbym być żulem, takim jak ci, którzy siedzą na murku pod moim blokiem. Nic, tylko wypoczywać, bez zmartwień sączyć jabola i miło spędzać czas z kolegami”. Mija czterdzieści lat, a Jasio jest milionerem, prezesem potężnej korporacji, ma wspaniały dom, luksusowy samochód, prywatny jacht, samolot i piękną kobietę przy boku. I niemal codziennie staje przy oknie gabinetu w najwyższym biurówcu w mieście, spogląda na swoje imperium, na to rozświetlone *city*, i myśli: „Ja pierdołę, gdzie popełniłem błąd?”

Dowcip wywołał jedynie szmer kurtuazyjnego śmiechu, bardziej spowodowanego niespodziewanym wulgaryzmem aniżeli talentem komediowym opowiadającego. Maks spojrzął na Grażkę, która nie zadbała, by szczególnie cicho powiedzieć ironicznę: „Ojej, rewelacyjny żart! Boki trójkąta zrywać!”, a potem na czuwającą nad warsztatami z ramienia kadry pracowniczej doktor Omilianowicz. Uśmiechała się, choć jej blejsza niż zazwyczaj twarz zdecydowanie ujmowała temu wyrazowi szczerości.

– Żarty na bok. Kto ma znajomych, którzy uczą się czegoś innego niż matematyka i są już na drugim, trzecim lub wyższym roku? – zapytał pan Szulc, niezrażony faktem, że otwierający dowcip nie zrobił oczekiwanego wrażenia.

Niemal każdy student na widowni uniósł rękę. Maks, który miał (nie)przyjemność mieszkać z dwoma przyszłymi, pożał się Boże, lekarzami, również. Szulc spojrzął na niego i zapytał:

– Czego uczą się pana przyjaciele?

– Przyjaciele to za duże słowo. – Maks uśmiechnął się i pomyślał, że jak na osobę po matematyce mężczyzna nie wykazał się należyłą precyzją. Nie uległ jednak pokusie, by mu to wypomnieć. – Koledzy. Są na kierunku lekarskim na GUMedzie.

– Który rok?

– Trzeci, tak jak ja.

- Świetnie. Ma pan z nimi częsty kontakt?
- Tak, mieszkam z nimi już trzeci rok, to moi współlokatorzy.
- Jeszcze lepiej! A jak długo pan ich zna?
- Prawie dziesięć lat, od gimnazjum.
- Czy po jakimś czasie od rozpoczęcia studiów zauważył pan, że wasze sposoby postrzegania świata zaczynają się rozjeżdżać?
- Co konkretnie ma pan na myśli?
- Właśnie nie chcę być konkretny. Chcę, by pan się zastanowił, czy coś takiego zauważył, i by to pan opowiedział mi o swoich obserwacjach. Interesują mnie zwłaszcza motywy, które dla nich mogą wydawać się naturalne, natomiast dla pana nie, i odwrotnie.

Maks pomyślał chwilę.

– No to na przykład pamiętam sytuację, gdy niedawno podczas rozmowy oparłem łokieć o stół, a jeden z nich wyskoczył z tekstem, że oparłem o blat ulnę. Nie powiedział: „łokieć” albo „kość łokciową”, tylko strzelił łacińską nazwą.

– O, bardzo dobry przykład. Pana kolega tak przesiąkł łacińskimi nazwami, że zaczął ich używać nawet w sytuacjach, które tego nie wymagają. Może chciał się popisać, ale sposób, w jaki to zrobił, też wiele mówi. Przychodzi panu do głowy coś jeszcze?

Maks milczał przez moment. Nie dlatego, że myślał nad odpowiedzią, gdyż ta nasuwała się sama. Zastanawiał się, czy wypada publicznie o tym mówić.

– Nie chcę być źle zrozumiany, ale zauważyłem u nich pewne trudności z... logicznym myśleniem – powiedział, a zewsząd rozległy się ciche parsknięcia. – Czasem muszę im tłumaczyć najprostsze rzeczy, na przykład dotyczące obowiązków domowych. Często wydaje mi się, że zbytnio nie myślą nad tym, co robią. To znaczy może i myślą, ale nie wybierają najbardziej optymalnych rozwiązań.

– Bardzo dobrze! – Pan Szulc odpowiedział z takim entuzjazmem, że zaskoczył Maksa i resztę. – Do tego właśnie zmierzałem. – Powiódł wzrokiem po pozostałych. – Taka dysproporcja w postrzeganiu świata objawia się dopiero na studiach. Powód jest prosty – dopiero wtedy w stu procentach poświęcamy się innym dziedzinom wiedzy niż wielu naszych rówieśników. Do końca liceum,

choć mamy klasy o różnych profilach, uczymy się z grubsza tego samego, więc te różnice jeszcze nie uwidaczniają się tak bardzo. Dopiero na studiach zakładamy abstrakcyjne okulary, przez które patrzymy na wszystko, co nas otacza. I tak na przykład koledzy pana – wskazał Maksa – zaczynają rzucać łacińskimi nazwami, zdarza się też, że studenci medycyny, nasłuchawszy się o paskudnych chorobach, zaczynają dostrzegać je u innych, a w najgorszym razie sami stają się hipochondrykami, choć jeszcze przed studiami nic by na to nie wskazywało. Inny przykład: student psychologii z czasem nie będzie mógł się powstrzymać od analizowania zachowań otaczających go ludzi, ich przyczyn, mechanizmów, sytuacji rodzinnej i tak dalej. Jest takie powiedzenie: „Jesteś tym, co jesz”. Wprawdzie odnosi się do pożywienia, ale można je odnieść również do naszego mózgu i świadomości. – Pan Szulc popukał się po skroni. – To, czym karmimy nasz umysł, zaczyna w nim dominować. Zauważyliście na przykład, że osoby, które żyją w pozytywnym środowisku, słuchają reggae i starają się karmić wyłącznie dobrymi wiadomościami, są na ogół uśmiechnięte, pozytywne i bardziej lubiane? Oczywiście zdarzają się wyjątki, ale statystycznie rzecz biorąc, zachodzi taka korelacja. Zastanawialiście się kiedykolwiek, jak przestawia się z kolei wasz mózg, odkąd zaczęliście studiować matematykę, i co jest największą korzyścią, jaką dzięki temu odnosicie?

Maks znowu zerknął na Grażkę i uśmiechnął się, kiedy powiedziała cicho: „Nauczyłam się liczyć pochodne i całki”.

– Wbrew pozorom wcale nie jest to liczenie pochodnych i całek! – odpowiedział sam sobie pan Szulc, który raczej nie mógł jej słyszeć. – Nie jest to też umiejętność określania, co w ujęciu algebraicznym jest grupą, a co nie, podobnie zbytnio nie przydadzą wam się w codziennym życiu liczby zespolone. A zatem?

Słuchacze milczeli, nawet Grażka nie zaryzykowała kolejnej dawki uszczypliwych uwag.

– Uczycie się myśleć! – Rozłożył uroczyście ręce. – Zdajecie sobie z tego sprawę? Zauważyliście, że w ramach waszej edukacji non stop, dzień w dzień rozwiązujecie logiczne łamigłówki, które,



jeżeli chodzi o tak zwany *workflow*, niczym nie różnią się od gry w sudoku, komputerowego pasjansa czy układania kostki Rubika? W obu sytuacjach mamy identyczny schemat: spotykamy się z określonymi, sztywnymi zasadami rządzącymi uniwersum, które analizujemy. Zasady te po matematycznym nazywamy aksjomatami, ich zbiór zaś paradygmatem. Z naszego punktu widzenia najważniejsze jest to, że wyczerpują temat i w zupełności wystarczają, byśmy potrafili rozwiązać wszystkie problemy, jakie w tym uniwersum się pojawiają.

Pan Szulc rozejrzał się po słuchaczach. Nikt się nie odezwał.

– Tak właśnie lubię nazywać matkę. Nauką o rozwiązywaniu problemów – podjął. – Uczymy się poruszać w świecie problemów i narzędzi do ich rozwiązywania. Uczymy się szukać rozwiązań. I właśnie to jest największym kapitałem, jaki wynosicie z tych studiów. Nie umiejętność liczenia, bo to może zrobić za was kalkulator; nie wiedza o wyznaczaniu pochodnych, bo o wiele szybciej poradzą z tym sobie odpowiednie programy komputerowe. Nabywacie umiejętności główkowania, logicznych rozważań, analizy sytuacji, wyciągania wniosków i prognozowania. Stajecie się precyzyjni, zwracacie uwagę na szczegóły, które robią różnicę. Wszędzie, nawet w codziennym życiu. A ponieważ schemat formułowania zasad, a potem korzystania z nich do rozwiązywania problemów, staje się dla was czymś naturalnym, łatwo przyjdzie wam nauczyć się czegokolwiek. Daję wam gwarancję, że po skończeniu tych studiów, jakkolwiek pracę podejmiecie, nawet taką, która z matematyką na pozór nie ma nic wspólnego, świetnie sobie poradzicie. Błyskawicznie opanujecie potrzebne w niej narzędzia. To bardzo cenna umiejętność.

Maks spojrzął na Grażkę, ciekawy jej opinii na ten temat. Wyraz twarzy koleżanki mówił wszystko. Delikatnie mówiąc, nie wyglądała na przekonaną.

– Chciałbym jeszcze wrócić do pana. – Szulc ponownie spojrzął na Maksa. – Wspomniał pan, że dostrzegł u swoich współlokatorów trudności z logicznym myśleniem. To nie do końca prawda. Poziom umiejętności rozwiązywania problemów u pana

kolegów od liceum właściwie się nie zmienił. To u pana niesamowicie się polepszył, właśnie przez matematyczne trenowanie mózgu, i dlatego pan to dostrzegł – dzięki różnicom między sposobem, w jaki pan postrzega świat, a w jaki pana koledzy. Uwierzy mi pan, jak powiem, że gdy kończył pan liceum, pod tym względem prawie nie było między wami różnicy?

Maks poczuł się, jakby Szulca go obraził. Zawsze był najlepszym uczniem w klasie.

– Nie do końca bym się z tym zgodził – odparł.

– Tak pan sądzi? – Przez oczy Szulca przemknął błysk gotowości do konfrontacji. – Proszę o szczerość. Czy zazwyczaj planuje pan swój dzień?

– Tak.

– Czy, obiektywnie patrząc, czasem aż do przesady? Co do minuty?

– Tak.

– Czy nie było tak, że zaczęło się to u pana dopiero na studiach? Maks pomyślał przez moment.

– Rzeczywiście. Tak było – odparł szczerze.

– A widzi pan! Niech zgadnę – kiedy na przykład przygotowuje pan obiad i na opakowaniu z ryżem jest napisane, żeby gotować go przez piętnaście minut, to trzyma się pan tego co do sekundy, czasem nawet z zegarkiem w ręku?

Zaskoczył Maks, który co do joty przygotowywał tak swój posiłek, choćby wczoraj.

– Tak!

– Założę się też, że ma pan rozplanowany budżet i nigdy się nie zdarzyło, by na codzienne wydatki przeznaczył w danym miesiącu więcej, niż zarobił. Analizuje pan, na jaki przystanek tramwajowy pójść, gdy od kilku dzieli pana porównywalna odległość, by odnieść jak największą korzyść. Co więcej, nawet w wolne dni ma pan określone pory wykonywania powtarzalnych czynności.

– Rzeczywiście tak jest – odpowiedział Maks. – I rzeczywiście, zacząłem tak robić dopiero na studiach. Ale może to dlate-

go, że musiałem się usamodzielnic i po raz pierwszy zamieszkałem poza domem rodzinnym.

– Pana koledzy z medycyny zapewne też pierwszy raz poczuli smak wolności, a mimo to, jak sam pan powiedział, nie analizują w ten sposób okoliczności, nawet jeżeli mówimy o prostych, codziennych sytuacjach. Co zatem mogło to determinować, jak nie kierunek studiów, który pan wybrał?

Maks musiał przyznać mu rację. Rozejrzył się po sali, szukając pomocy w dyskusji u kolegów i koleżanek, i stwierdził ze zdziwieniem, że ci przyglądają mu się z... konsternacją? Nie Szulcowi, właśnie jemu.

– Pewnie jest tak, jak pan mówi – potwierdził raz jeszcze, choć bez przekonania. Czuł na sobie wzrok wszystkich dookoła i marzył tylko o tym, by Szulc wreszcie dał mu spokój. Jego życzenie się spełniło, przynajmniej na razie.

– Czy dostrzegacie już, co chcę wam przekazać? – Szulc zwrócił się słuchaczy. – Dotarło do was, czego tak naprawdę się uczycie? Przekonałem was, że nie marnujecie tutaj czasu?

Nikt mu nie odpowiedział, chyba ku jego zaskoczeniu.

– OK, widzę, że nadal mi nie wierzycie, ale myślę, że przekonają was przykłady osób, które kończyły ten sam kierunek, co wy, i teraz wykonują zawody, jakich się nie spodziewały, a mimo to nie żałują, że poszły na matkę. Wszyscy to moi koledzy i koleżanki ze studiów. – Pochylił się nad swoim laptopem i otworzył plik pdf, w którym na pierwszym slajdzie widniało zdjęcie kobiety z podpisem: „Dorota, analityk biznesowy”. Zaraz jednak wyprostował się gwałtownie. – A! Jeszcze jedna ważna rzecz! – Uniósł palec wskazujący i spojrzął na studentów z powagą. – Żebym został dobrze zrozumiany. Nie wartościuję, nie chcę, byście zrozumieli to tak, że sposób postrzegania świata przez nie-matematyków jest zły, gorszy od naszego. Jest inny. Chcę tylko powiedzieć, że za naszym idą określone korzyści, które może nie dają nam gwarancji szczęśliwego życia, takiej nigdy nie ma, ale dają za to gwarancję życia bardzo efektywnego. Zarówno w codziennym, prywatnym sensie, jak i zawodowym. Zawsze znajdziemy najkrótszą drogę do celu.

– No i jak? – zapytał Maks, kiedy warsztaty się skończyły i razem z Olkiem wyszli z auli. Foch Grażki nie przetrwał dłużej niż dwie godziny i także szła obok nich.

– Jaki z niego rasista! – odpowiedział.

– Co? Dlaczego?

– Taki intelektualny. Nie zauważyłeś? Niby coś tam mówił, żeby nie uważać się za lepszego od innych, ale to wprost wylewało się z jego wypowiedzi. Klasyczni rasiści też ci powiedzą: „Nie mam nic do ludzi o innym kolorze skóry, ale mleko powinno leżeć w swoim kartonie”.

– A ja uważam, że mówił całkiem sensownie i w pełni się z nim zgadzam. Ułożyłem sobie w głowie to i owo.

– Bla, bla, bla... „Jesteś zwycięzcą!”, „Dasz radę!”, „Będiesz diamentem!”. Nie przypomina wam to czegoś? Równie dobrze mogliśmy obejrzeć sobie ten słynny filmik na YouTube. Przynajmniej jest śmieszniejszy niż suchary tego typu. – Grażka skrzywiła się. – Ale dobra. Przyjmijmy, że miał rację. Od teraz jestem dumną, świadomą matematyczką i stwierdzam analitycznie, że mogłam spędzić czas e f e k t y w n i e j, na przykład pospać dłużej. – Zaakcentowała kąśliwie. – Powiedz lepiej, czy to prawda, co wtedy powiedziałeś? Naprawdę gotujesz ryż z zegarkiem w ręku?

– Tak. Wy tak nie macie?

Spojrzeni na niego identycznie jak reszta kolegów i koleżanek w trakcie warsztatów. Czyli z wyrazem twarzy sugerującym, że jest czymś pomiędzy kosmitą a wariatem. Nie spodobało mu się to.

„Rasiści...” – pomyślał, lecz zaraz poczuł satysfakcję. Cóż, może właśnie dlatego był najlepszym studentem na wydziale. Średnia na pierwszym roku? Cztery dziewięć. Na drugim? Cztery siedem, też najwyższa ze wszystkich, włączając w to matematykę nauczycielską i tak zwaną „beprzymiotnikową”. Ani jednej oceny poniżej czwórki. Skutkowało to tym, że Maks już drugi rok z rzędu zgarniał niechodzące piechotą sześćset złotych stypendium rektora dla najlepszych studentów. Dodając do tego tysiąc dwie-

ście, jakie zarabiał na czysto na lokatorach, oraz fakt, że wszystkie te źródła dochodu były nieopodatkowane (a niektóre powinny), wychodziło na to, że choć nie pracował zawodowo, zarabiał na rękę więcej, niż wynosiła minimalna krajowa netto. Mało tego, teoretycznie mógł dostawać jeszcze kilkaset złotych, które co miesiąc na jego utrzymanie przelewała ojcu Ta Pani, lecz uznał, że skoro to, co zarabia samodzielnie, mu wystarcza, lepiej będzie, jak pieniądze od niej spożytkuje się na spłacenie części comiesięcznej raty kredytu zaciągniętego przez Okrągłego seniora na mieszkanie w Gdańsku. Maks ich nie potrzebował, nawet bez nich co miesiąc udawało mu się odłożyć czasem i pięćset złotych, tym bardziej że rachunki dzielili ze współlokatorami przez trzy i kwoty na nich nie rosły liniowo.

Po warsztatach koledzy i koleżanki oddali mu zeszyty, po czym wszyscy studenci matematyki ekonomicznej poszli do gabinetu doktora Jegorowa, który prowadził zajęcia z rachunku prawdopodobieństwa i przez swoje włosy – tak tłuste, że chyba nigdy ich nie mył, a raczej smażył w głębokim tłuszczu – dorobił się u Grażki i Olka ksywki „Jegorsterol”. Mieli odebrać ostatnie kolokwia i poznać oceny za semestr. Pod drzwiami do pracowni zebrał się już już mały tłum.

– Podobno tylko jedna osoba napisała na sto procent! – dosłyszał Maks i uśmiechnął się w duchu. Wszyscy spojrzeli na niego, co tym razem sprawiło mu przyjemność.

Właśnie wtedy z gabinetu Jegorowa wyszedł Jacek Jakubowski. Lub Jakub Jackowski, w każdym razie jeden z nich. Cały rozentuzjzmowany, jego zarumienioną, promieniejącą twarz rozciągał uśmiech.

– Mam maksa! – zawołał do wszystkich i roześmiał się, jakby sam nie mógł uwierzyć w absurd sytuacji. – I czwóreczka na semestr! – Pokazał gest dwóch wiktorii i zrobił minę tak dumną, że brakowało tylko, by dorysować mu ciemne okulary, a obok napisał *Thug life*.

Maks poczuł ciężar w żołądku, a dobre samopoczucie i wiążący się z nim uśmiech uleciały z niego jak kamfora. Wszyscy jak auto-

maty spojrzeli najpierw na Jacka/Kubę, a potem na niego, tym razem w wyrazie zdziwienia i jakby oczekiwania. Z kolei jedna koleżanka – Anita – triumfalnie.

Postąpił odruchowo. Podeszedł do kolegi i zapytał:

– Który zestaw zadań miałeś?

Uśmiech szybko spelzł Jackowi/Kubie z twarzy.

– Drugi – powiedział niepewnie.

Czyli ten sam, co Maks.

– Jegor dał ci twoje koło?

Jacek/Kuba się zawahał. Maks wiedział już wszystko. Nauczyciele akademicy generalnie mieli obowiązek przechowywać kółkwa do końca studiów danego rocznika, ale niektórzy nie przestrzegali tej reguły.

– Czyli dał. Mogę zobaczyć?

– Co?

– Twoje koło.

– Po co?

– Nic, tak sobie.

– Nie.

– Daj spokój, pokaż.

– Nie!

– Dlaczego?

Kuba/Jacek zawahał się po raz kolejny i zapytał:

– Po co chcesz to zobaczyć? Będziesz szukał błędów i potem mu powiesz, że nie zasłużyłem na czwórkę?

Zaskoczył Maksa, który w ogóle o czymś takim nie myślał. Chciał sprawdzić, jakie błędy sam popełnił, zanim doczekałby się, gnijąc w ogonku do gabinetu i umierając z niecierpliwości.

Stał oniemiały, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Jacek/Kuba minął go i czym prędzej się ulotnił. Dopiero kiedy zniknął za rogiem, Maks rozejrzał się po kolegach i koleżankach, napotykając ich spojrzenia. Jak jeszcze chwilę wcześniej sprawiało mu to przyjemność, tak teraz przypominało ukłucia lodowatych igiełek.

– Oj, Maks chyba nie ma maksa! I co teraz?! – zawołała ironicz-

nie Anita, a kilku studentów parsknęło śmiechem. Maks nie odpowiedział. Włożył ręce do kieszeni, spuścił wzrok i znowu stanął przy Olku i Grażce.

– Pewnie i tak masz więcej niż my dwoje razem wzięci – powiedziała ta druga.

Maks milczał.

– Ej, mówię do ciebie! – Pomachała mu ręką przed oczami. Dopiero wtedy na nią spojrział.

– Możliwe. – Wysilił się na jak najbardziej beztroski ton, ale średnio mu wyszło.

– Stary, serio? Aż tak się przejmujesz? Że nie będzie maksa? – zapytał Olek.

– Nie przejmuję się!

– Akurat! Wyglądasz, jakbyś właśnie dowiedział się, że masz raka. Albo że nie masz maksa z kolokwium.

– Bardzo śmieszne! – Maks podniósł głos. Ku swojej dezaprobachie zabrzmiał ostrzej, niż zamierzał.

– Nie zawsze będziesz najlepszy. Czasem...

– Dobra, weź, daj już spokój!

– Wiem, co poprawi ci humor. Planowaliśmy dziś wieczorem po raz ostatni przed sesją odpiąć wrotki w Kwadratowej. Może przejdiesz się z nami? Zobacz, jak fajnie się złoży: Square po raz pierwszy zawita do Kwadratowej. Znamy się ponad dwa lata, a ja jeszcze ani razu nie wypilem z tobą piwa!

– Ja też nie – zauważyła Grażka. – Zawsze mówisz, że nie masz czasu.

– Dzisiaj też nie mogę.

– Aha, rozumiem, jesteś wkurzony, że nie dostałeś maksa, więc teraz będziesz kuł, żeby na egzaminie na pewno dostać piątkę? – zapytał Olek. – I tak dostaniesz! Z mojej strony już teraz masz dożywotni szacun, że radzisz sobie bez ściąg i bez środków dopingujących. Ja nigdy nie dostałem oceny powyżej czwórki, jeżeli przed kołem się nie zjarałem.

– Nie, wyobraź sobie, że umówiłem się dzisiaj z dziewczyną! – warknął Maks.

– Masz dziewczynę? – Szczere zdziwienie w głosie Olka jeszcze bardziej dobiło Maksa. – Ty i dziewczyny? Przecież to brzmi jak jakieś *paranormal activity*. Masz czas na takie rzeczy? Myślałem, że tylko siedzisz w domu i się uczysz.

Jakkolwiek by patrzeć, to była prawda. Maks jednak nie skłamał. Dziś po raz pierwszy od dawien dawna miał pójść na randkę.

– Dobra, weź – odciął się i zirytowany pomaszerował na koniec korytarza. Usiadłszy na ławce pod oknem, wyciągnął z plecaka zeszyt, otworzył na losowej stronie i zaczął czytać, choć więcej było w tym pustego przelatywania wzrokiem po wzorach, definicjach i twierdzeniach aniżeli czytania ze zrozumieniem.

– Idź do niego – mruknęła Grażka do Olka. – Idź! Bo jeszcze... Wiesz... – Spojrzała na niego znacząco.

– Dobra – westchnął. – Ej, asie – zwrócił się do Maksa – nie obrażaj się, przecież żartowałem!

Maks nie odrywał wzroku od zeszytu. Głowę miał opartą na ręce i zakrywał sobie usta dłonią.

– Co to za dziewczyna? – Olek przysiadł się do niego, a Grażka stanęła obok. – Nie mówiłeś, że kogoś poznałeś.

Maks oderwał dłoń od ust.

– Bo to dopiero pierwsze spotkanie. Spisaliśmy się na Tinderze.

– Poka. Ładna?

– Całkiem, całkiem. – Udobruchany ich zainteresowaniem i nazwaniem go „asem”, Maks wyciągnął smartfon, uruchomił rzeczoną aplikację i pokazał zdjęcia. Dziewczyna miała na imię Monika, a jej ciemne włosy mieniły się czerwonawymi refleksami.

– Zaimponowała mi także opisem. Zobaczcie – przewinął palcem do tekstu – nie dość, że gramatycznie i ortograficznie poprawny, to jeszcze wykorzystała limit znaków!

– Ojej, czyżbyś policzył litery?! – zawołała ironicznie Grażka.

Maks spojrział na nią z irytacją. Zastanawiał się, czy koleżanka potrafi jeszcze wyrazić zwykły podziw bez kpiącej nuty.

– Gadaj, co chcesz, ale to już wyczyn, gdy dziewczyna nie ma w opisie samego „Nie piszę pierwsza” albo „170”, czyli wzrostu w centymetrach i odwrotności ilorazu inteligencji w jednym.



– Skoro odwrotność ilorazu, to chyba należałoby to nazwać „iloczynem inteligencji”? – zauważył Olek.

– Nie, baranie, odwrotność ilorazu to nie iloczyn. – Maks pacnął się otwartą dłonią w czoło. – Przecież to łatwo sprawdzić. Na przykład odwrotność dwa przez trzy, czyli trzy drugie, to nie jest dwa razy trzy, czyli sześć.

– Dasz mi spokój? Nie jestem tak ogarnięty jak ty. Nawet po ziole.

– Sam zacząłeś – odparł Maks, podczas gdy określenie go „ogarniętym” zapewniło mu kolejny zastrzyk satysfakcji i dobrego samopoczucia. – Dziewczyna wydaje się w porządku. Miło nam się pisze.

– No, no! – zapał z uznaniem Olek, wpatrując się w zdjęcie. – Nawet zakładając zwyczajowe minus dwa punkty do atrakcyjności, i tak uważam, że niezła sztunia.

– Co? – Grażka zmarszczyła groźnie brwi. – Jakie minus dwa punkty?

– Zasada „minus dwa”. Nie znasz? – zdziwił się Olek. – Kiedy widzisz zdjęcie laski w internecie, jakkolwiek ładna by była, i oceniaś ją w skali od jeden do dziesięć, dajmy na to na osiem, to powinnaś zakładać, że w rzeczywistości, na żywo, to szóstka. Minus dwa. Dziesiątka to tak naprawdę ósemka, szóstka to czwórka i tak dalej.

– Gdzie przeczytałeś takie głupoty? – Zmierzyła go zimnym wzrokiem. – Bo nie wierzę, że sam to wymyśliłeś.

– Na „Pokoleniu Ikea” – odparł z dumą Olek.

– Już byś się nie przyznawał, że odwiedzasz takie strony.

– Nie odwiedzam, nie muszę, w końcu ogólnie jestem zajebysty i nie potrzebuję porad na temat relacji damsko-męskich. Wystarczy mój niewątpliwy urok osobisty i seksowna broda. – Okręcił uwodzicielsko palec wokół swojego warkoczyka, a Grażka wzniosła oczy ku sufitowi. – Trafiłem tam przez przypadek. Chciałem napisać proste działanie w Google, bo nie wiem, czy wiecie, ale tak można i wtedy działa jak kalkulator, ale omsknęła mi się ręka i wpisałem samo „-2”. Reszta historii znacie.

Maks i Grażka spojrzeli na niego z konsternacją.

– Cały wszechświat można zapisać w liczbach. Niczym Matrix.  
– Olek ściszył głos do konspiracyjnego szeptu i zmrużył oczy. Patrzył na nich, lecz ewidentnie przeszedł w tryb samolotowy, ewentualnie ktoś w środku właśnie wyjął mu wtyczkę.

– Wiesz co? – odezwał się Maks. – Może lepiej zostać przy tych rozkminach z zasadą minus dwa.

– Ojej, jacy wy jesteście zabawni! – wciąła się Grażka. – Zasada minus dwa! Wszyscy jesteście tacy sami! Patrzycie tylko na wygląd!

– Na twoim miejscu byłbym ostrożny z takimi sądami – stwierdził Maks. – Bo prawie na pewno się mylisz.

– Nie myślę się!

– Z matematycznego punktu widzenia prawie na pewno się mylisz. Użyłaś kwantyfikatorów ogólnych „wszyscy” i „patrzycie tylko na wygląd”. Skoro *w s z y s c y i t y l k o* na wygląd, to wszyscy i tylko na wygląd, bez wyjątków. Wystarczy jednak, że znajdę jeden kontrprzykład i twoja teoria pada. Jak dobrze pamiętasz z początkowych zajęć z pierwszego roku, które były de facto powtórką z liceum, a precyzyjniej: *jak p a m i ę t a ł a b y ś*, gdybyś chodziła na wykłady – Maks mówił bez zająknięcia, z dużą pewnością siebie i takim tonem, jakby rozmawiał z kompletną idiotką – zaprzeczeniem kwantyfikatora ogólnego „dla każdego X zachodzi coś” jest kwantyfikator szczegółowy: „istnieje przynajmniej jeden X, dla którego to coś nie zachodzi”. Kwantyfikatorów ogólnych lepiej nie używać, bo często tworzą zdania fałszywe, nierzadko krzywdzące. Właśnie przedstawiłem ci na to niemalże naukowy dowód.

– Jak podchodzisz do wszystkiego tak dosłownie... – Grażka urwała, chyba zdając sobie sprawę, że znowu użyła niefortunnego słowa. – Serio, matma zryła ci mózg. Może gdybyś się tyle nie uczył...

Maks zdenerwował się. Kuba/Jacek, Anita, Olek, Grażka... Tyle osób musiało mu dokuczać, bo w odróżnieniu od nich chciało mu się pracować na studiach! Tym razem nie zamierzał odpuścić riposty.

– Chyba że używasz innego twierdzenia – odpowiedział. – Prawie matematyczne: choćby mężczyzna poznał *w s z y s t k i e* – zaakcentował – kobiety na świecie, i tak ich nie zrozumie...

- O! Bardzo mądre!
- ...natomiast kobiecie wystarczy, że pozna jednego mężczyznę i już wie, że wszyscy są tacy sami. Taki paradoks – dokończył, czym sprawił, że złośliwy uśmiezek zniknął jej z twarzy. Olek zarechotał ze sztuczną egzaltacją, jakby chciał przypodobać się Makowski.
- Ojej! Nokaut! – odpowiedziała z ironią Grażka, choć dało się wyczuć, że wymuszona.
- Zgadzam się. Skoro mamy to już wyjaśnione...
- ...proponuję iść po nasze koła. – Olek wskazał wzdłuż korytarza, gdzie w trakcie ich polemiki kolejka pod gabinetem Jegorowa znacznie się zmniejszyła.

## 6

Maks osiągnął drugi wynik na roku i napisał kolokwium na osiemdziesiąt siedem procent. Poprzednie napisał bezbłędnie, co skutkowało łącznie dziewięćdziesięcioma trzema i pół procenta z przedmiotu. Kiedy doktor Jegorow poinformował go o tym, dyskomfort wynikający ze świadomości, że tym razem nie był najlepszy, nieco zelżał. Grunt, że udało się osiągnąć cel, a więc piątkę na semestr, i to jako jedynemu w obydwu grupach ćwiczeniowych. Niektórzy zadowalali się skromniejszymi osiągnięciami. Grażka zaliczyła rachunek prawdopodobieństwa na trzy i pół, Olek zaś na czwórkę, więc chyba nie żałował pieniędzy wydanych na specjalne zioło, które palił przed każdym kolokwium i które rzeczywiście statystycznie polepszało jego wyniki. W jego pracy chyba nawet nie chodziło o właściwe rozwiązania, tylko o walory rozrywkowe, bo Jegorow napisał mu na końcu tajemnicze podsumowanie:

*Ósme przykazanie boskie brzmi „Nie mów fałszywego świadectwa...” i tak dalej. To, co Pan tutaj napisał, było ordynarnym łamaniem ósmego przykazania, ale przynajmniej było śmiesznie.*

Najbardziej interesowało Maksa, jakie błędy popełnił, i okazało się, że oprócz kilku drobnych niedomówień, z którymi uczciwie mógłby się zgodzić, nie zaliczono mu ostatniego, dodatkowego zadania – takiego samego dla wszystkich. Na jego pracy widniała przy nim okrągła cyfra zero, bez jakiegokolwiek dopisku czy uzasadnienia. Dziwne, biorąc pod uwagę, że zadanie wydawało się tak proste, że aż podejrzanе:

*W urnie są dwie kule białe i dwie czerwone. Wyciągasz jednocześnie dwie kule. Jakie jest prawdopodobieństwo, że będą różnokolorowe?*

Takie zadania rozwiązuje się na pierwszych lekcjach z rachunku prawdopodobieństwa na matematyce w liceum, nie na studiach, więc teoretycznie mógł znaleźć się w nim jakiś haczyk, ale ponieważ Maks żadnego się nie doszukał, rozwiązał je klasycznie, w swoim mniemaniu właściwie. Pierwsza wylosowana kula nie ma znaczenia. Liczy się to, by druga była w innym kolorze. Po wylosowaniu pierwszej w urnie zostaje jedna kula w tym samym kolorze, co właściwie wyciągnięta, i dwie w innym. Prawdopodobieństwo, że wylosujemy jedną z tych dwóch wynosi dwie trzecie.

– A dlaczego nie zaliczył mi pan ostatniego zadania z kulami?

Jegorow uśmiechnął się szelmowsko, jakby nie słyszał tego pytania dzisiaj po raz pierwszy.

– W sumie też mogę o to zapytać – odezwała się Grażka. – Było tak proste, że nawet ja je rozwiązałam. I gdybym dostała za nie punkty, też miałabym czwórkę!

– Dwie trzecie, nie? – Olek porównał swój wynik z wartością na jej kartce.

– Otóż nie! – stwierdził dziarsko Jegorow. – Poprawna odpowiedź to zero!

– Jak zero? Przecież jest możliwe wylosowanie dwóch kul, z których jedna będzie biała, a druga czerwona.

– Właśnie! Tak jak pani powiedziała! Natomiast nie jest możliwe wylosowanie kul różnokolorowych, bo każda ma jeden określony kolor!

W gabinecie zapadła cisza. Każde z nich potrzebowało trochę

czasu, by przetworzyć i zrozumieć słowa wykładowcy. Maksowi udało się to najszybciej.

– No tak! – Uderzył się otwartą dłońią w czoło.

– No wie pan?! – zapytała kwaśno Grażka. – Czy „różnokolorowe” nie znaczy właśnie, że każda jest w jednym kolorze, ale w innym niż druga?

– Nie, właśnie na tym polegała trudność tego zadania. – Jegorow nadal się uśmiechał, lecz mówił z pełną stanowczością i już było wiadomo, że dyskusja nad zmianą jego decyzji mija się z celem. – Pomyślałem, że będzie idealne na dodatkowe. Powinno było państwa zastanowić, dlaczego dałem takie z pozoru proste zadanie na koniec.

Grażka spojrzała na niego lodowato, a Maks niemal usłyszał wypowiedziane jej głosem: „Ojej, jaki śmieszek! Boki trójkąta zrywać!”. W zasadzie się z nią zgadzał; można by polemizować, czy słowo „różnokolorowe” dotyczy dwóch kul jednocześnie, czy każdej z osobna, ale skoro i tak uzyskał piątkę na semestr, przyjął, że nie ma sensu spierać się z nauczycielem, do którego miał ważną sprawę. Zastanawiało go natomiast co innego – jak to możliwe, że zadanie jako jedyny rozwiązał ten idiota Jackowski/Jakubowski? Chyba tylko takim cudem, że strzelił i ze wszystkich liczb z przedziału  $[0,1]$  miał szczęście trafić akurat tę właściwą. Ewentualnie napisał to dla żartu, nie spodziewając się, że to poprawna odpowiedź. W ostatniej hipotezie Maks założył z kolei, że Jacek/Kuba z nudów narysował tam kółeczko, które sprawdzający kolokwium Jegorow pomylił z zerem.

– W ramach protestu przeciwko tak trudnym zadaniom na kolokwium nie przyjdę już na żaden pana wykład w tym semestrze! – zawołał dramatycznie Olek i żołnierskim krokiem wymaszerował z gabinetu. Jegorow parsknął śmiechem i spojrzął na Maksa i Grażkę.

– Czy mają państwo do mnie jeszcze jakieś pytania?

– Nie – Grażka odpowiedziała tonem obrażonej dziewczynki. Dwumetrowej obrażonej dziewczynki. – Właściwie to mam – zreflektowała się. – Nie wie pan, czy profesor Liedtke jest u siebie w gabinecie? Ostatnio nie mogę go złapać.

– Powinien być – odpowiedział uprzejmie Jegorow.

W jego głosie wyczuwało się szacunek. Nic dziwnego, skoro rozmawiali o prawdziwym nestorze kadry naukowej Uniwersytetu Gdańskiego. Ponoć mieszkał na wydziale, choć zwolniono go z obowiązków dydaktycznych. Grażka jako jedyna z roku Maksa wybrała go na promotora pracy licencjackiej. W obliczu tak małej liczby chętnych seminarium nie ruszyło, ale profesor, uradowany faktem, że przynajmniej jeden student zainteresował się jego dziedziną, zrobił wyjątek i mimo to zgodził się wziąć ją pod swoje skrzydła. Grażka od czasu do czasu bywała w jego gabinecie i twierdziła, że znajdowało się tam łóżko polowe z pościelą oraz suszarka do prania. Liedtke czuł się tam bardzo swobodnie, można wręcz powiedzieć – jak w domu, bo pomimo zakazu palenia w budynku niemiłosiernie kopcił w pracowni papierosami i zawsze unosiła się tam majestatyczna nikotynowa mgła. Doprowadzał Grażkę do szewskiej pasji również tym, że bez przerwy zwracał się do niej „pani Kasiu”, choć poprawiała go milion razy. Ani Maks, ani Olek nad tym nie ubolewali, skoro dostarczało im to nowych tematów do żartów.

– Ja też mam pytanie – odezwał się Maks. – Ale to dłuższa kwestia, więc cię nie zatrzymuję.

Grażka wzruszyła ramionami i opuściła gabinet, zostawiając go z wykładownicą sam na sam.

– Słucham pana – powiedział uprzejmie Jegorow.

Maks wyprostował się i wytrzymał jego spojrzenie. Akurat tego nauczyciela pytał o to po raz pierwszy.

– Panie doktorze, czy w związku z tym, że jestem jedynym studentem na roku, który ma piątkę z ćwiczeń, istniałaby szansa na zwolnienie z egzaminu?

Jegorow spojrział na niego ze zdziwieniem. Odpowiedział po dłuższej chwili.

– Panie Maksymilianie, niestety nie mogę się zgodzić. Nie byłoby to w porządku wobec innych – odparł uprzejmie. – Zasady przystępowania do egzaminu podałem do wiadomości na początku semestru. Nie przewidywałem żadnych zwolnień.

– Wiem, ale pomyślałem, że skoro jako jedyny mam piątkę

i byłem na wszystkich wykładach... – Maks użył argumentu, który wyciągał z rękawa, ilekroć zbliżała się sesja. W ten sposób wyróżniał się na tle innych studentów. Po pierwsze – piątka z ćwiczeń. Po drugie – stuprocentowa frekwencja na ćwiczeniach i wykładach. Po trzecie – nadzwyczaj duża aktywność, tak częsta, że niektórzy, zwłaszcza Anita, krzywo na to patrzyli, bo nie dawał im dopchać się do tablicy, za co przyznawano dodatkowe punkty do egzaminu. Po czwarte – uprzejme traktowanie ćwiczeniowców i wykładowców, aby miło im się kojarzyć, nieobgadywanie ich, nawet gdy teoretycznie tego nie słyszeli. Stosowanie się do tych czterech przykazań czasem przynosiło wymierne efekty i nie musiał pisać egzaminu; prowadzący przepisywał tylko ocenę z ćwiczeń.

Niestety „czasem” nie jest równoznaczne z „zawsze”. Gdyby wrócić do mądrości, które Maks wygłosił Grażce przed chwilą na korytarzu, można powiedzieć wręcz, że jedno stanowi zaprzeczenie drugiego.

– Panie Maksymilianie, niestety muszę odmówić. Za to mogę obiecać panu miłą atmosferę w trakcie egzaminu. Proszę się nie martwić. Będzie dobrze. – Jegorow uśmiechnął się szeroko.

Maks skinął głową.

– W porządku, rozumiem. W takim razie już nie przeszkadzam. Do widzenia!

Właściwie takie słowa z ust wykładowcy można rozumieć jako parafrazę: „I tak postawię ci piątkę na egzaminie, o ile czegoś poważnie nie spieprzysz”, więc Maks mógł uznać dzisiejszy wypad na uczelnię za udany. Nie idealny, ale na dodatniej części osi X.

– A właściwie, jak już pan tu jest... – usłyszał za sobą głos Jegorowa i zatrzymał się.

– Tak? – Odwrócił się z nadzieją.

– Tak ostatnio sobie pomyślałem... Prowadzę zajęcia z matematyki również na informatyce. Nie myślał pan o studiowaniu dwóch kierunków? Jest pan zdolny i pracowity. Na pewno by pan sobie poradził. Akurat wstrzeliliby się pan na otwarcie nowego skrzydła na wydziale! – Jegorow wskazał w stronę rzeczonyj dobudówki.

– Szczerze mówiąc, nie – odparł Maks, starając się ukryć roz-

czarowanie faktem, że Jegorow nie zatrzymał go w drzwiach z innego powodu. Nie osłodziły tego nawet usłyszane komplementy.

– Może nie powinienem tego mówić jako doktor matematyki, profesor Liedtke pewnie by mnie zabił – zaśmiał się Jegorow – ale jestem zdania, że obecnie połączenie matematyki z informatyką to najlepsze, co może wybrać student w edukacji. Dysponuje pan wtedy taką wiedzą, że *sky is the limit*, także pod względem finansowym. – Skinął znacząco głową. – Oczywiście, jako matematyk też pan sobie poradzi, ale chyba zgodzi się pan, że lepiej jest zarabiać piętnaście tysięcy niż dziesięć. I to jeszcze przed trzydziestką. Branża IT to przyszłość. A matematyka, z której programowanie wiele czerpie, to potęga. Ale to już pewnie pan wie.

Maks myślał. Doktor Jegorow nie proponował mu tego jako pierwszy, ale dotychczas taka sugestia nie padła z ust żadnego pracownika wydziału. Maks jednak nie był co do tego przekonany. Drugi kierunek oznaczał niemal na pewno słabsze wyniki, ryzyko utraty stypendium, pokrywających się zajęć i – o zgrozo – kolokwiów w te same dni.

Brrr....

Nie.

Zapowiadało się to jak za dużo zachodu za zbyt małą nagrodę na końcu. Zdecydowanie wołał być najlepszy w jednej dziedzinie niż przeciętny w dwóch. Zresztą pan Szulc wyraźnie powiedział, że z matematycznym mózgiem nauczanie się czegokolwiek w przyszłości to bułka z masłem. Nawet wspominał o kolegach ze studiów, którzy potem zostali programistami. Nic nie stało na przeszkodzie, by pomyśleć o tym w przyszłości.

– Dziękuję za sugestię, ale na razie wołałbym skupić się na jednym kierunku – powiedział uprzejmie Maks.

– W porządku, rozumiem. Nie nalegam, tak tylko zaproponowałem.

Maks czekał z nadzieją, ale Jegorow nie dodał nic więcej, toteż skinął głową i powiedział:

– W takim razie idę. Do widzenia!

– Swoją drogą...



Zatrzymał się.

– Tak?

– Tak mnie naszło. Ma pan ciekawe imię i nazwisko. Dobrze dla matematyka!

Maks jęknął w duchu. Jegorow znowu go zawiódł. Także dlatego, że dopiero teraz zwrócił uwagę na to, co inni nauczyciele akademicy zauważali i komentowali po pierwszym przeczytaniu listy obecności.

„Matematyk Maks Okrągły! Ha, ha! Hi, hi! He, he! Boki trójkąta zrywać!”

Ledwo się powstrzymał, by nie ziewnąć.

– Tak, wiele osób zwraca na to uwagę – powiedział. – To na pewno znak od losu. Do widzenia! – Wysilił się na udawany entuzjazm i opuścił gabinet. Tak jak się spodziewał, Olek i Grażka na niego nie zaczekali i nie zastał ich w korytarzu. Odebrał kurtkę z szatni i opuścił wydział, lecz kiedy niespodziewanie uderzył go potężny podmuch wiatru, niemal natychmiast zawrócił. Ponownie wyciągnął z kieszeni grzebień i skierował się do łazienki.